

Niektóre uczucia nie umierają nigdy, a miałem się o tym dowiedzieć pewnej lipcowej nocy, kiedy zmożony duchotą w barze wyszedłem na zewnątrz, by zapalić papierosa. Przez szczeliny w futrynach drzwi i okien wciąż wyrwały się szarpane melodie dobrze znanego mi kawałka jazzowego. Cisza nocna w tym mieście wydawała się nie obowiązywać i ściany, grubością przywodzące na myśl prasowaną tekturę, nie umiały powstrzymać wylewającej się na miasto muzyki, której usilne tamowanie przypominało próbę utrzymania wody w torebce z filcu. Podrygiwały mury, nasączone drżeniem saksofonu jak herbatniki w porannej kawie, a ich vibracje kolidowały z vibracjami ścian obok i czułem się osaczony przez natłok bodźców. W kieszeni mojego płaszcza czułem podskakującą w rytm papierosnicę i zapalniczkę.

W tym mieście nigdy nie było się samemu, choć czasem bardzo się tego chciało. Za chwilę miało świtać, a mimo to chodnik wypełniony był tłumem pijanych turystów, którzy, przytuleni szczelnie do siebie, tworzyli zbitą, szarą masę. Z grupy wychyliła się dziewczyna, na oko trzydziestoletnia z modną wówczas fryzurą na pixie. Poznała mnie, a ja - chcąc ominąć konfrontacji, spodziewając się spotkania z rozgoryczoną dziewczyną, do której nigdy nie oddzwoniłem po wspólnie spędzonej nocy - spróbowałem stworzyć zasłonę dymną z wydmuchiwanego dymu papierosowego i skryć się wewnątrz baru. Kimkolwiek była - ponieważ na początku nie rozpoznałem w niej obiektu pożądań sprzed lat - poruszała się szybko i z zadziwiającą jak na te godziny zwinnością.

— Midas? — zapytała.

— Tak? — wydukałem, zbity z pantalątku świadomością, że ta osoba na pewno wiedziała, kim byłem.

— Co ty tu robisz? Wszyscy myślą, że nie żyjesz!

Zdawałem sobie sprawę, że takie domysły towarzyszyły mojemu niespodziewanemu zniknięciu sprzed lat, ale coś w jej głosie sprawiło, że zdziwiłem się na nowo i miałem ochotę zaśmiać się i krzyknąć z niedowierzaniem: „Ha, ja miałbym nie żyć?”. Nie powiedziałem jednak nic, próbując spisać w głowie fałszywy scenariusz, który mógłby usprawiedliwić moją ucieczkę. Wiedziałem jednak, że konwersacja polega na wymianie zdań, a zdumienie, rysujące się na mej twarzy, było zdradliwym wrogiem i nie było zbyt wymowne. Ponowiła pytanie, a ja popatrzyłem najpierw w jej oczy, później skierowałem wzrok na dekolt, uświadomiwszy sobie, że wiem bardzo dobrze, kim jest ta osoba, rzucająca z rozgoryczeniem słowa w moją stronę.

— Zaraz po tym jak zaginąłeś, wszczęto poszukiwania i przez dziesięć dni z rzędu całe Dixon Mills przeszukiwało okoliczne lasy i stawy. Twoje zdjęcie znalazło we wszystkich najważniejszych miastach w Alabamie, a twoja podobizna wisiała na każdym słupie od Birmingham aż po Huntsville. Trzy razy pisano o tobie w lokalnej gazecie, a Towarzystwo Mleczarskie wydało fortunę, by cię odnaleźć, żywego lub martwego, a wszystko dzięki wstawiennictwu twojego ojca. Moja matka powołała specjalną komisję do spraw zaginięć, a szeryf Robertson opowiadał o twoim zaginięciu w radio. O zamordowanie ciebie oskarżono trzech Murzynów, których lekko wstawionych znaleziono nad ranem w pobliżu twojej dzielnicy. Jeśli myślisz, że nie należy nam się żadne wytłumaczenie, to jesteś albo szalony, albo niesamowicie głupi. Co do drugiego mam całkowitą pewność. Nie patrz więc na mnie z otwartym pyskiem, tylko mów co, do licha, wyprawiasz?

Ktoś z tyłu zaczął wołać: „Elle, Elle, idziesz z nami?”, ale zbyła go niestarannym machnięciem ręki. Miałem wiele do powiedzenia, ale większość z tego odnosiło się do jej wypowiedzi. Widać było, że jest przejezdną. Miała dziwny akcent - przeciągała każde „a”, przez co każde słowo brzmiało, jakby kosztowało ją wiele wysiłku, albo jakby mówiła od niechcenia. Ponadto używała słów typu „pysk” i „Murzyni”, co na Wschodnim Wybrzeżu było jednoznacznym dowodem na jej obce pochodzenie. W Nowym Jorku każdy chce udawać, że jest z Nowego Jorku.

— Nie mówi się już „Murzyni”, Elle. To poniżające.

— Do licha z twoimi zasadami, Midas. Wyłumacz swoją zagwostkę językową tym Murzynom, którzy właśnie przez ciebie odbęniają wyrok w stanowym więzieniu.

Oslupiałem. Oparłem się o ścianę i wibracje stały się jeszcze silniejsze - teraz kręgosłup przeszła fala drzeń.

— „Nam”. Powiedziałaś „czy nie należy nam się wyjaśnienie?”.

Popatrzyła na mnie z wrogością i zakłopotaniem, jakby nie była pewna o czym mówiłem.

— „Nam”. W Dixon Mills nie istniała żadna jednostka. Byliśmy zawsze całością, cała społeczność składała się z wielu małych komórek. Nie ma i nigdy nie było żadnego „mnie” ani „ja”. Każdy dba o dobro wspólne, dlatego nikt nigdy nie dbał o własne. Liczyło się to, co powiedzą sąsiedzi, co powie pani z kiosku przy stacji kolejowej, a „ja” nie istniało. Gdyby Dixon było organizmem - oczywiście krowy, a każdy mieszkaniec był komórką, ja byłbym komórką rakową. Dlatego ciesz się, że uciekłem... - uciłem na chwilę, a później, mniej pewnie, dodałem: — Jeśli urodziłeś się w Dixon Mills, masz dwie opcje - albo zostaniesz mleczarzem albo rolnikiem. Nawet szeryfów ściągali z Vermont albo Nevady. Trzy osoby na krzyż umiały czytać. Znajomość podstawowych rachunków, nawet tych wykonywanych w słupku, była świadectwem ukończenia liceum i to nie tego w Dixon Mills, tylko tego w Huntsville. Nikt nie poszedł na studia. Nikt. Przez piętnaście lat mieszkania w Dixon Mills nie wiedziałem nawet, że istnieje coś takiego jak „edukacja wyższa”. W szkole uczyły nas zakonnice, które nie miały pojęcia ani o trygonometrii, ani o literaturze, ani o filozofii. Dlatego wybac mi, że nie chciałem pozostać częścią „nas”. Dixon Mills dla mnie nie istnieje, a ja nie istnieję dla Dixon Mills i wołałbym, żeby tak pozostało.

— Czasy się zmieniły, Midas - powiedziała, choć już nie ze złością, tylko ze zmartwieniem.

— Dlatego proszę, nie mów już „Murzyni” - skwitowałem.

Nastąpiła niezręczna cisza, ponieważ moja zwięzła wypowiedź na pewno nie była jednoznaczną odpowiedzią na zadane mi przez Elle pytanie. Czułem się jak pszczoła, którą ktoś przytknął pod szklanką i bacznie obserwował. Elle poprawiła z tyłu sukienkę i usiadła na starannie rozmieszczonej na chodniku gazecie. Wydzieliła mi fragment i zapraszającym gestem wskazała na artykuł o porannym notowaniu giełdy. Z ukrytą głęboko niechęcią usiadłem obok.

— Co ty właściwie robisz w Nowym Jorku? — rzuciłem niedbale, starając się, by nie zabrzmiało to jak próba zmiany tematu. Wiedziałem jak łatwo jest odciągnąć Elle od głównego tematu.

— Vinnie i ja obchodzimy tu rocznicę ślubu.

— Vinnie? Ten chłopak, który wkładał sobie przez całą podstawówkę kulki z sera do nosa?

Przytaknęła z lekkim uśmiechem, a ja niemal usłyszałem jej myśli - Boże, on o niczym nie wie.

— Pobraliśmy się w pięćdziesiątym czwartym, pięć lat po twoim zaginięciu. W maju następnego roku przyszedł na świat Midas, a dziewięć miesięcy później Trinity. Czyli rocznik pięćdziesiąty piąty i szósty.

Na wieść o imieniu pierwszego dziecka prawie się zakrztusiłem.

— Najchętniej teraz zmieniałabym mu imię, ale dziecko to nie pies... Mówiłam, że całe miasto naprawdę przejęło się twoim zaginięciem, a ja w szczególności. Twój ojciec rwał sobie włosy z głowy i tak szybko posiwiał... W rok postarzał się chyba o dziesięć lat. Nie kontaktowałeś się z nim, prawda?

Potrząsnąłem głową.

— A co z mamą? — zapytałem.

Popatrzyła się na mnie - najpierw z tłumionym zaskoczeniem, a później ze smutkiem.

— Ojej, Midas, ty o niczym nie wiesz... — utkwiała wzrok w swoje paznokcie, pomalowane na niebieski kolor. Była to bardzo ładna barwa, przywodząca na myśl niebo i morze na Long Island. — Twoja mama umarła rok po twoim zaginięciu. Na suchoty. Tak bardzo przejęła się twoim zniknięciem, że zamykała się w domu, zaciągała żaluzje i tak siedziała w całkowitej ciemności przez całe dni. W naszych czasach poradzić sobie z suchotami to nic trudnego, ale ona na widok lekarzy rzucała się i krzyczała wniebogłosy. Nigdy twojemu ojcu nie udało się jej uspokoić na tyle, żeby dała się zbadać. Na widok igły zdrapywała

sobie skórę z twarzy.

Zamilkła na chwilę, a ja poczułem się, jakby ktoś wymierzył mi policzek. Moja matka nie żyje. Osoba, która nigdy mnie nie rozumiała, ale jednocześnie człowiek, z którym łączyły mnie tak liczne powiązania, odszedł na zawsze. Gdyby przeszła w życiu to, co ja, byłaby mną. A ja, gdybym żył jej życiem i widziałbym świat tak jak ona, wylądowałbym w tym samym miejscu, co ona. Ponoć każdy na stare lata staje się własną matką.

— Powiedz mi, Midas, dlaczego nigdy nikomu nie powiedziałeś o tym, że chcesz wyjechać? Wszyscy by zrozumieli. Twój rodzice nie byli idealni, ale w końcu pogodziliby się z życiem, które dla siebie wybrałeś. Łatwiej byłoby im to przełknąć niż śmierć.

Elle nie знаła mojego ojca. Śmierć syna byłaby dla niego łatwiejsza do przeżycia niż świadomość, że jego syn stał się pisarzem, mieszka w wielkim mieście, kupuje mleko w szklanych butelkach i obraca się w towarzystwie komunistów. Dla mojego ojca flaga konfederatów i filozofia życia, którą sam sobie stworzył, była ważniejsza niż którykolwiek członek rodziny. Wolał śmierć z honorem niż ucieczkę. „Na Południu nigdy nie będzie idealnie - mawiał. „Ale póki nie damy demokratom wejść na głowę z tymi ich wymysłami o wolności Czarnuchów, będzie w porządku.

— To już nie jest ważne, Elle. Chcę tylko, żebyś wiedziała, że naprawdę nie chciałem cię zranić. Wiesz dobrze jednak, że nie mogłem ci o niczym powiedzieć.

— Midas, chodziliśmy ze sobą od trzeciej klasy. Mieliliśmy wspólne plany. Pamiętasz, mieliśmy razem zamieszkać w Nowym Jorku, albo w Chicago...? W miejscu, które nie śmierdzi krowim łajnem, ani kwaśnym mlekiem? Uciekając, wyrządziłeś krzywdę mi, twojemu ojcu, a szczególnie matce. Nie możemy też zapomnieć o tych trzech kolorowych, którzy siedzą teraz w pudle. Od kary śmierci uratował ich tylko fakt, że nie odnaleźli twojego ciała... Szeryfowi naprawdę zależało na znalezieniu winnych.

— Nigdy nie umiałabyś uciec, Elle. Jesteś jedyną córką z małżeństwa, które teraz pewnie ma koło siedemdziesiątki. Zostałabyś, a właściwie - zostałas, bo nie umiałaś oddzielić tego, co musisz robić od tego, co powinnaś.

— Wszystko zmienia się z wiekiem, Midas. Pomyślałam teraz, że jesteśmy tak naprawdę jedną osobą. Mam wszystko to, czego pragnęłam. Co prawda, nie studiowałam, ale mam cudownego męża i dwójkę dzieci, które kocham nad życie. Vinnie kupił samochód, najnowszy Bentley. Mamy własny dom, co niedzielę chodzę do kościoła, a z pastorem mam bardzo dobre relacje. Jestem przewodniczącą Klubu Mleczarskiego, jako pierwszą kobietą w historii. Prowadzę życie, które mi odpowiada. Nie jest idealne, ale podoba mi się spokój Dixon Mills. W końcu pokochałbyś to miasteczko.

Nie było sensu dalej rozwodzić się nad alternatywną wersją zdarzeń. Uciekłem. To już się stało. Nie wytłumaczę Elle jak to jest czuć zapach porannej bryzy po przespanej na plaży nocy. Nie zrozumie, jak cudownie jest w końcu się nie dusić, jak to jest nie być przytłoczonym ambicjami rodziców, które - swoją drogą - były niższe od tych, które miałem ja sam. Ona nigdy nie potrafiłaby pojąć wolności, która towarzyszy śmierci.

— Muszę lecieć. Vinnie czeka na mnie w hotelu. Wybrałyśmy się z koleżankami na drinka i trochę się przeciągnęło. Nadal jestem w szoku, choć część mnie i tak wiedziała, że żyjesz. Szkoda, że nie potrafię się gniewać... Dobranoc, Midas. Rezyduję w hotelu na Washington Square. Gdybyś miał jutro trochę czasu, to wpadnij. Tak po siedemnastej. Cholera... Midas... Ja chyba nigdy nie przestałam cię kochać - i odeszła.

Nie mogłem przestać o niej myśleć. Jeszcze tej samej nocy, która w końcu przestała być nocą, a stała się zaczątkiem poranka, poprosiłem Dona z lady o dwa centy na telefon. W budce znalazłem książkę telefoniczną i szybko przewertowałem jej zawartość z nadzieją na znalezienie hotelu na Washington Square. Nie udało mi się. Oparłem się o wilgotną od mojego oddechu witrynę i bezsilnie zsunąłem się na posadzkę, przybity od nadmiaru wrażeń.

Długo jeszcze zastanawiałem się nad tym, kim bym był, gdybym nie wyjechał. Może w rzeczywistości życie w Dixon Mills nie byłoby tak uciążliwe. Może w końcu zdołałbym stać się jednym z nich, wtopić się w tłum i stać się na powrót jedną z komórek. Może moje przeświadczenie, że jestem ponad nimi wszystkimi wywiązało się z czystego snobizmu i wrażenia, że tylko kult jednostki ma sens. Może pogardliwy w moich myślach wizerunek kolektywizmu nie jest taki zły. W końcu jedna komórka rakowa, o ile nie przejmie innych, szybko umiera.

Szybko wyrwałem się z rozmyślań. W gruncie rzeczy Elle i ja byliśmy zupełnie inni. Ja poświęciłem wszystko, co miałem; ona nie miałaby tyle odwagi.

W naszym domu nad kominkiem wisiała replika obrazu, którego oryginał wisiał w którejś z katedr w Ljublanie. Przedstawiał on Uzzaha - mężczyznę, który dotknął Arki Przymierza i padł martwy. Zawsze podobał mi się ten obraz i dowcipy mojej mamy - że czasem lepiej nie znać tajemnic życia.

Elle i ja już nigdy się nie spotkaliśmy. Dalej byliśmy tą samą osobą, a równocześnie zupełnie inną.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Jarevas, dodano 23.09.2018 01:53

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.